

Equestria: Become a Pony

Autor: **Wilczke**

Prereading i patroszenie: lisowaty, Snowi

Konsultacje: Dex

[<< rozdział I](#)

[rozdział III >>](#)

Rozdział II

Maszyny z mięsa

Z trybu czuwania wybudzają mnie promienie słońca, które niepostrzeżenie wdzierają się przez rdzawe luki w zadaszeniu pokażnej stodoły. Otwieram oczy. Moja karta graficzna zaczyna przetwarzać światło słonecznego poranka.

Powoli ponownie przechodzę przez proces oswojania się z barwami świata. Drażnią mnie. Wolałbym pracować w pomieszczeniu, najlepiej bez żadnych okien. Cienie tańczą, rażą receptory, zaburzają postrzeganie. Słowem – przeszkadzają w efektywnym wykonywaniu swoich obowiązków.

System uruchamia funkcje opcjonalne.

Pompa imituje wymianę gazową, rytmicznie poruszając klatką piersiową, podnosząc ją i opuszczając do domyślnej pozycji zgodnej z konstrukcją.

Źrenice przeprowadzają test akomodacji. Od kilku lat nie zachodzi prawidłowo w lewym oku, ponieważ doznałem uszkodzenia gałki w wypadku podczas mocowania ogrodzenia z drutu kolczastego.

Na stal egzoszkieletu wypelza włosie w czerwieni najdojrzałych jabłek. Leniwie pokrywa kolejne połacie, rozpoczynając od uszu, przechodząc przez tułów i kończąc na kopytach. Z tylnej części głowy i zadu wybucha krótka, krwista grzywa, przystrzyżona odpowiednio, długością wpasowująca się w przepisy BHP dla ponydroidów rolniczych.

Wszelakie imitacje i wierne naśladownictwo faktycznych zachowań kucyków służą jedynie ku walorom estetycznym. Pomagają w zachowaniu naturalności, nadają pozory żywej istoty. Dobrze sprzedają się na rynku, bo ponydroid przyodziany w sierść wygląda lepiej niż

goła stal, pomimo swoich szerokich możliwości. Czynią nas kucykami z metalu, zakrywając prawdziwą twarz maszyn za mięsem.

Zakańczając proces, wstaję z panelu staminy. Łapię za mały zbiornik z cieczą w kolorze ciemnego błękitu, czyli tyrium we wczesnej fazie rozkładu. Niebieska krew ulega całkowitemu zepsuciu po sześciu godzinach od wydalenia z obiegu i z soczystego błękitu przechodzi końcowo we fiolet, proces ten następuje wczesnym rankiem.

Odłączam wężyk, którym naczynie jest połączone z machinerią mojego panelu i wylewam jego zawartość do odpowiedniego otworu, który prowadzi do kompostownika.

Po codziennym pogodzeniu się z faktem coraz większego zużycia, kieruję się ku chłodziarce.

Wysyłam impuls diodą i drzwiczki do mojego bufetu stają otworem.

Muszę uzupełnić braki po ubytku zanieczyszczonego płynu. Łapię w aurę niewielką puszkę i otwieram ją, rozkoszując się dźwiękiem metalu, upijam łyk niebieskiej cieczy. Od razu czuję przypływ świeżej energii w biokomponentach.

Jeszcze raz omiatam wzrokiem pomieszczenie. Zimne, stalowe ściany, po mojej prawej beczki z olejem napędowym do maszyn rolniczych. Przy pancernych drzwiach mały stos części, które Stary Mac składował na przysłowiową "czarną godzinę". Zerkam na pusty panel staminy w drugim kącie pomieszczenia i podłączony do niego pojemnik z przeterminowanym, fioletowawym już, płynem obiegowym. Czyli Vystrel wyszła wcześniej. I nawet nie raczyła po sobie sprzątnąć, typowe.

W pełni zdolny do rozpoczęcia pracy, stawiam pierwszy krok ku kolejnemu dniu.

Wychodzę na podwórze zostawiając za sobą szary zlepek blachy. Dzięki zmysłowi analizy widzę zarys śladów kopyt Vystrel odbitych w suchym pyłe ścieżki. Biegła w trybie cichym, prawdopodobnie, by nikt nie słyszał stukotu. Kurwa jej fabryka, kiedyś wpakuje nas w poważne tarapaty.

Ślady prowadzą do starego tartaku, położonego na uboczu farmy.

Budynek jeszcze za czasów życia Powierniczek wyłączono z użytku i przeznaczono na skład części i surowców. W letnim słońcu lekko podniszczony strop prezentował się tajemniczo, żeby nie rzec, upiornie. Promienie niedbale wpadały do środka, tworząc

oryginalną i niezmiernie klimatyczną grę światła. Znow skrzywiłem się przestępując próg i rozglądając się na boki w poszukiwaniu znajomej twarzy.

Android żeński modelu CA200 stał oparty o jedną z kolumn, które podtrzymywały grubą krokiw, przechodzącą przez całą długość dachu walącego się tartaku. Na prowizorycznym stoliku leżało pudełko ze śrutem. Klacz właśnie ładowała wiatrówkę sprężynową kolejną porcją amunicji. Widziałem, jak naciąga sprężynę łamiąc lufę i wkłada do komory kolejny, pojedynczy śrut. Każdy ruch wykonywała z niezwykłą sobie pieczołowitością, czym niejedną już raz przyprawiała mnie o nikły uśmiech. Wyczuwałem u siebie nagłe spięcia w programie, kiedy pociągając za spust uwalniała pocisk z uścisku lufy, a ten, jakby manewrując według jej rozkazów, zawsze trafiał w centrum celu, będącego tarczą nalepioną na worek z jabłkami, który przytargała z sadu po zbiorach.

Jednak nie tym razem.

Pocisk nie opuścił jeszcze lufy. Sprężyna wiatrówki, choć niecierpliwa, nadal naciągnięta wyczekiwała na zwolnienie. Na swoim czole poczułem wytężoną trasę, którą miał przebyć ołów nim spotkał się z celem podróży. Jednak drogę tę pokonał jedynie impuls, który popłynął od żółtej diody Vystrel, schowanej za lunetą, do mojej, rozświetlającej na czerwono poranny półmrok tartaku.

– Wiesz, że nie powinno cię tu być. A jak już wchodziłeś, powinienś być wyłączyć tryb cichy. Jeżeli nagle wychyliłbyś się zza winkła, nie chybiłabym. Szczęście w nieszczęściu, stanąłeś jak ostatni debil, wystawiając się na cel pierwszemu lepszemu strzelcowi, co pozwoliło mi ocenić wcześniej twoją potencjalną nieszkodliwość.

Wyraźnie wyczułem w tym sygnale irytację. Zabarwioną... chęcią mordy? Może tylko zadziornością, sadyzmem, ale przejawianą przez spokojne sygnały, hamujące buzującą imitację działania mieszanki epinefryny i kortyzolu. Vystrel była drapieżną pięknoscią, łowcą, mordercą maszyną. Mięsożercą, żywiącym się zimnem martwej stali, dźwiękiem wystrzału i zapachem prochu.

– Hej, hej, aura ze spustu, królowno – modulacja sprawiła, że mój głos przybrał poważny ton, ale klacz doskonale wiedziała, że to tylko przykrywka. – Chyba jeszcze mnie potrzebujesz żywego, prawda? – rzuciłem na koniec, jednocześnie podnosząc kopyta do góry w obronnym geście.

– Masz rację, ruchoma tarcza jest przydatna przy ćwiczeniach celności. – Z jej syntezatorów mowy powoli wydobywały się, jakby umyślnie tłumione, kolejne wyrazy, zlewając się końcowo w symfonię istnej nienawiści. Gdyby tylko mogła, doprowadziłaby do przegrzania systemu, a następnie wrzenia tytrium wewnątrz biokomponentów.

Przelknąłem ślinę. Była wkurwiona.

– W-ydaje mi się – lekko się zająkałem – że szkoda ci śrutu na taką ofertę, jak ja. Nie zobaczyłabyś swojego wyniku, nie mam naklejonej tarczy. – Mówiąc to i tak byłem pewien, że dla niej wystarczającym wyznacznikiem dobrego wyniku jest martwy cel.

– Tu też masz rację, ostatnio trafiasz w same dziesiątki.

Wydarzenia następnych kilku chwil postępowały za sobą w zatrważającym tempie. Vystrel mrugnęła do mnie, wychylając łeb zza lunety wiatrówki, po czym szybko ponownie skierowała broń w kierunku podwieszonego w oddali na belce worka. Pocisk opuścił komorę i sekundy później już dostrzegłem dziurę w parcianej fakturze. Śrut najprawdopodobniej utkwiał w jednym z jabłek. Przestrzelina ziała w górnej części nakreślonego węglem kręgu, oznaczonego liczbą dziewięć.

– Kurwa – rzuciła jakby od niechcenia, a ja już wiedziałem, że to nie był pierwszy worek dzisiejszego poranka z ustrzeloną *jedynie* dziewiątką. Ambitna z niej suka.

Jakiś czas później, po przypomnieniu Vystrel o posprzątaniu bałaganu, jaki zostawiła po sobie rano wymykając się do tartaku, stałem oparty o jedną z kolumn i wsłuchiwałem się w śpiew drozdów obrożnych. Przez rozlatujące się deski budynku zagłędały promienie południowego słońca. Obserwowałem pył, który jeszcze przed chwilą wzburzyły jej kopyta i który teraz powoli osiadał na drewnianych skrzyniach, parcianych workach i rażących czernią stertach węgla.

Zacząłem cicho powtarzać pod nosem słowa mojej ulubionej ostatnio piosenki¹, tej która pewnego dnia rozbrzmiała w radiu i od tamtej chwili nie mogłem pozbyć się jej z mojej głowy. Ale czy nam, androidom, w ogóle może coś zapaść w pamięć? Brzmi to bardzo rzeczywiście, nawet sam fakt zapadania w pamięci ujmuje mi odrobinę maszynowego charakteru. Pamiętam, bo nie chcę zapomnieć. Nie zapomniałem, mimo że nikt nie nakazał mi utopić tego przekazu w nieprzerwanym ciągu płynących informacji.

Z rozmyślań wybudziła mnie Apple Bloom, która weszła do składu w poszukiwaniu ostatniego worka jabłek Zapp. Przeczuwała, gdzie mógł się zapodziać. Ciekawe tylko, czy знаła Vystrel tak dobrze, czy może zauważyła ją rano, umykającą do tartaku na uboczu farmy. Pozdrowiłem ją skinieniem głowy, a ona odpowiedziała.

¹The Oh Hello's - [Hello My Old Heart](#)

– Dzień dobry Tyron. Widzę, że nasza CA200 znowu prula do worka. Śrut tak dobrze wchodzi w jabłka, czy to zwyczajny kaprys? – Zagaiła przyjaźnie, a z jej naprędcie związanego koka sterczały pojedyncze, niesforne włosy.

– Panna Bloom, wyrozumiałość chyba nigdy panny nie opuści, prawda? – Usłyszeliśmy w drzwiach, w których stała błękitna klacz, trzymająca w aurze wiatrówkę. – Naprawdę przepraszam za te jabłka, zrekompensuję to pannie przy zbiorach albo wypucuję kombajn na błysk! – androidka zasalutowała, dając znak, że jest gotowa wykonać nawet najbrudniejszą robotę na farmie.

– Vystrel, czy ktoś ci już mówił, że jesteś jednocześnie zbyt arogancka i zbyt ułożona, by ci wjechać?

Jej dioda zapłonęła na czerwono.

– Skończony imbecylu. Tępy idioto. Panie i władco nieudanych żartów – mówiła tak spokojnie, delikatnie i zadziornie, ale widziałem, jak słomianą klacz przeszedł dreszcz. I był to ten rodzaj dreszczu, który owłada całym ciałem. – Nie wygrasz ze mną, wiesz to – powoli parla do przodu, ewidentnie próbując przyprzeć mnie do ściany. – Po co ci były te głupie odzywki?

Poczułem, jak mój zad dotknął drewnianej deski. Przez ułamek sekundy musiałem okazać panikę, bo na twarzy błękitnej klaczy wymalował się szeroki uśmiech tryumfu.

Zbliżała się, musiałem wstać na dwie nogi. Koniec końców i ona zrobiła to samo.

Zamknąłem na chwilę oczy, spodziewałem się uderzenia w skroń. Tak mogłaby wymusić impuls o potencjalnym zagrożeniu całego systemu. Ale nie poczułem nic. Moje mikrofony wychwyciły huk dwóch kopyt, po jednej i po drugiej stronie mojej głowy. Teraz znalazłem się w sytuacji wręcz fatalnej.

Stałem oko w oko z pierwotną maszyną, myślenie której krążyło teraz jedynie wkoło likwidacji celu.

Och, nie zostawiaj mnie tu samego.

Padł na mnie blady strach, a jednocześnie intrygowało mnie jej posunięcie. Nie wiem, czy przelałem czarę goryczy, czy po prostu miała taki kaprys. Klacze! Ta akurat groźniejsza od reszty...

Och, nie chcę być sam.

Moje przednie kopyta, spoczywające wzdłuż rozedrganego tułowia zwisały wolno, niczym nieskrępowane. Nie miałem pojęcia, co mogłoby spowodować, że dałaby sobie siana, ale postanowiłem spróbować położyć je na jej piersi, starając się jakoś ją odepchnąć.

Nie mów mi, że wyrośliśmy z miłości, bo kochaliśmy już przez krótką chwilę.

Spojrzała na mnie. Opuściła swoje kopyta, z powrotem stając na czterech nogach. Jej wzrok złagodniał, apetyt zmalał.

– Jak śmiesz... – wysyczała, a ja, na powrót zaciskając powieki, poczułem na gardle nacisk rogu i przyjemne mrowienie magicznej aury.

Pragnę znaleźć dom i dzielić go z tobą.

Nie odpowiedziałem. Zadarłem głowę ku niebu w oczekiwaniu na jej ruch. Byłem pewien, że mnie nie skrzywdzi. Może mnie zwyzywać, zmieszać z błotem, ale nie zrobi mi krzywdy. Nie, Vystrel, nie jesteś do tego zdolna.

Poczułem impuls, który dotarł do mojej diody.

– Policzymy się kiedy indziej, kmiocie. Jeszcze zrobię z ciebie tarczę.

Stałem jeszcze moment, przyparty do ściany tartaku, a do moich mikrofonów docierał powolny stukot oddalających się czterech par kopyt. Dwie pierwsze stąpały pewnie i dumnie. Pozostałe dwie zaś niepewnie wtórowały tym pierwszym. Moje biokomponenty agresywnie przepompowywały tyrium. Wysłałem impuls.

– Vystrel! Poczekaj...

Klacz stanęła w drzwiach i spojrzała na mnie z pogardą. Ale nie odpowiedziała, tylko ponownie odwróciła się do lekko zmieszanej gospodyni.

– Panno Bloom, proszę o wydanie instrukcji na dzisiejszy poranek. Proszę również, aby przydział bardziej intensywnych obowiązków przypadł wyjątkowo mnie, nie Tyronowi. On ewidentnie musi coś jeszcze załatwić – wyartykułowała donośnie, chłodno i twardo, czym dała mi znak, że nie toleruje nagłej zmiany planów.

Następnie wyszły, zostawiając mnie w tartaku owładniętym ciepłym światłem.

Zauważyłem, że w rogu, oparta o pień do rąbania drwa, stoi wiatrówka Vystrel. Przylewitowałem ją do siebie i złapałem w kopyta. Zlokalizowałem pudełko ze śrutem, które również otuliłem aurą w kolorze bursztynu, przyzywając je do siebie. Wstałem na równe nogi

i podszedłem do prowizorycznego stanowiska strzeleckiego, wykonanego z deski i dwóch beczek po cydrze jabłkowym. Naciągnąłem sprężynę, załadowałem pocisk do komory i wymierzyłem do worka, który wciąż znajdował się przy oddalonej ścianie budynku.

Strzeliłem, odnalazłem w sile wystrzału niemożliwą satysfakcję. Delikatny odrzut, którego cała siła skupiła się na moim ramieniu, huk wystrzału i widok przez lunetę opanowały mnie bez reszty. Moje mechaniczne i zawsze trzeźwo kalkulujące zmysły śledziły tor, jaki pokonywał śrut z każdą milisekundą. W najmniejszych szczegółach byłem w stanie dostrzec moment, kiedy pocisk trafił w wyznaczony przeze mnie wcześniej cel.

I nagle zrozumiałem. Dotarła do mnie idea jej zamięłowania.

Strzelałem do zmierzchu.

[<< rozdział I](#)

rozdział III >>